

Łukasz Jasina: Białoszewski nie przystawał do „wielkich narracji”

Miron Białoszewski lubił podkreślać te swoje „arcyludzkie” cechy. Jeśli można tak powiedzieć, to uniwersalizował (swoją) codzienność. Widać to zarówno na poziomie formy dzieła – jego język mówiony był niezwykle zbliżony do języka pisanego – jak i treści: ze swojego nieprzystosowania do „wielkich narracji”, używając współczesnego terminu, uczynił znak rozpoznawczy – mówi Łukasz Jasina w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Białoszewski. (O)pisanie dramatu (nie)codziennosci”.

Michał Strachowski: Podobał się panu *Parę osób, mały czas*?

Łukasz Jasina: Tak, to bardzo dobry film. Tym bardziej godzien zobaczenia, że swoją ostatnią dobrą rolę miała tam Krystyna Janda. Wciąż czekamy na następną. [Śmiech] Ale wracając do meritum, to widziałem *Parę osób, mały czas* już po lekturze dzienników z ostatnich lat życia Białoszewskiego, więc poeta był dla mnie kimś więcej niż tylko twórcą „dziwnego języka”.

Kimś więcej, czyli...

...byстрыm obserwatorem życia. Film Andrzeja Barańskiego pozwolił mi również dostrzec w Białoszewskim „zwykłego niezwykłego” człowieka, trochę dziwaka, który maluje okna na czarno oraz urządza sobie nocne eskapady po Warszawie, bo nie lubi słonecznego światła, a trochę takiego everymana, borykającego się z uczuciami i nieporadnego w zwykłych życiowych sytuacjach.

Przede wszystkim nie jest „wielkim poetą”.

I to jest największa zaleta tego dzieła, bo wciąż myślimy romantycznymi kategoriami „Wielkich Artystów”, a zapominamy, że za wielką sztuką stoi nie tylko zwyczajność, lecz często zwyczajna małość. Mogliśmy to widzieć to na przykładzie Miłosza i powinniśmy odrobić tę lekcję też w przypadku Białoszewskiego. Ten ostatni zresztą wielokrotnie pokazywał, jak małość i wielkość się ze sobą łączą.

Ale też podkreślał swój dystans do wszystkiego, co „wielkie”.

Bo lubił podkreślać te swoje „arcyludzkie” cechy. Jeśli można tak powiedzieć, to uniwersalizował (swoją) codzienność. Widać to zarówno na poziomie formy dzieła – jego język mówiony był niezwykle zbliżony do języka pisanego – jak i treści – ze swojego nieprzystosowania do „wielkich narracji”, używając współczesnego terminu, uczynił znak rozpoznawczy. Niezależnie czy chodzi o dystans do hurrapatriotycznego optymizmu w pierwszych dniach powstania warszawskiego czy o PRL-owską propagandę. Żył na własnych prawach, niezależnie czy było to na Woli, Ochocie, placu Dąbrowskiego czy w

Nowym Jorku, gdzie zobaczył pierwszy raz w życiu gejowskie kluby, których w PRL-u przecież nie było. Nawet wtedy zachowywał się inaczej.

Inaczej, czyli jak?

Komunikując się tym dziwnym, urywanym językiem i nie udając nikogo innego. Białoszewski nie był jednym z tych twórców, którzy tworzą wokół siebie całą mitologię. W jego przypadku możemy mówić nie tyle o autokreacji, lecz raczej o „autobiografizacji”, jego poezja to taki zapis codzienności. To jest człowiek w świecie, a nie artysta stylizujący się na narodowego wieszczka.

A nie jest to przypadkiem inne wcielenie, sięgającego romantyzmu, mitu artysty czyniącego z życia swoje najważniejsze dzieło? Inaczej mówiąc, czy nie jest to taki estetyzm *à rebours*, gdzie miejsce piękna zajęła brzydota, a przynajmniej przeciętność?

Nie znałem Białoszewskiego osobiście, więc nie mogę z pewnością stwierdzić, że jego postawa nie była estetyzmem *à rebours*, jak pan to określił. Każdy z naszych wielkich poetów, żyjących po romantykach Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, Norwidzie oraz ich zaprzeczeniu – Fredrze – w jakiejś mierze „koryguje” swoją biografię, mitologizuje i „poetyzuje” swoje życie. Jak było w przypadku autora *Pamiętnika z powstania warszawskiego*? Jeśli porównać go z Gombrowiczem, który walcząc z wyobrażeniem „wielkiego polskiego twórcy”, sam stał się jego ofiarą, to Białoszewskiemu udało się to nieporównywalnie lepiej.

Zapewne dlatego, że opisuje dookolny świat z niezwykłą czułością i empatią, w przeciwieństwie do twórcy *Ferdydurke*. Ta delikatność zresztą sprawiała, że nie odnajdywał się w literackich środowiskach PRL-u, które niezależnie od tego, czy były komunistyczne czy antykomunistyczne, przepełniała agresja.

Tej delikatności zawdzięczamy też przywołany przez pana *Pamiętnik z powstania warszawskiego*. Czy ta odziedziczona po epoce komunizmu agresja sprawia, że wciąż nie doczekał się ekranizacji?

Pamiętnik był wprawdzie wielokrotnie adaptowany czy to na deskach teatru, czy na potrzeby radia i telewizji, ale rzeczywiście funkcjonuje na uboczu. Czy to kwestia dziedziczenia sporów i ich temperatury? Poniekąd tak, ale przede wszystkim ten tekst nie miał szczęścia. W momencie publikacji *Pamiętnika* zainteresowanie powstaniem było niewielkie, a ono samo stało się przedmiotem daleko posuniętej mitologizacji, a kwestia cywilnych strat nie doczekała się rzetelnego opracowania i „przepracowania”. Po wojnie milczano o tragedii Warszawy, następnie ją gloryfikowano, do czego przyczyniła się siła tradycji martyrologicznej, a w latach dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia zaczęto ją na siłę rozmontowywać. Po wielkich obchodach pięćdziesięciolecia powstania, przyszły publikacje, m.in. Piotra Zychowicza, „demaskujące” rok 1944. Strony sporu okopały się na swoich pozycjach i nie było miejsca na opowieści w stylu Białoszewskiego, gdzie jest miejsce zarówno dla wielkich nadziei, jak i ich brutalnego zderzenia z rzeczywistością historyczną. Dopóki taki stan będzie trwać, dopóty *Pamiętnik* nie znajdzie należytego miejsca.

Może w stulecie powstania, gdy będzie to już spór z odległej przeszłości?

Oby.

Wydaje mi się, że podobnego dystansu potrzebujemy też w opisie PRL-u. Białoszewski pisząc *Chamowo*, chociaż żył wewnątrz tego świata potrafił go znaleźć, ale nam przychodzi to z wielkim trudem.

Bo też *Chamowo* to taki *Pamiętnik z powstania warszawskiego* po latach. Białoszewski wciąż pisze z czułością, ale już z perspektywy człowieka dojrzałego. Dwudziestolatek z powstania zamienia się w mężczyznę w sile wieku, który po latach oczekiwania doczekał się mieszkania spółdzielczego, w dobrej niegdyś dzielnicy...

...które przeżywa chamowem.

Nie bez przyczyny, była to w końcu proletariacka przybudówka do Saskiej Kępy. Ale to *chamowo* to nie konkretna lokalizacja, ale figura współczesnej Polski. Mieszkanie w bloku to jej kwintesencja. Moim zdaniem, kto nie mieszkał w wielkiej płycie, choćby przez chwilę, nie może nazywać się w pełni Polakiem lub Polką. [Śmiech] Białoszewski opisał to w genialny sposób. Wielka szkoda, że nie mógł tego zrobić z potransformacyjnym krajobrazem.

Wspomniał pan wcześniej wielkich romantyków – Mickiewicza, Słowackiego, Norwida – oraz polemizującego z nimi Gombrowicza. Wszyscy oni doczekali się uznania, ale i znaleźli, lepszych lub gorszych, lecz dość licznych kontynuatorów i naśladowców. A jak jest w przypadku Białoszewskiego?

Na pewno doczekał się recepcji, a kontynuacji w mniejszym stopniu. Pojawili się pisarze, próbujący pisać białoszewszczyznę, jak Ziemowit Szczerek, nim przestał lubić ludzi. Problem w tym, że wymaga to podobnej empatii i charakteru. Białoszewski nie był takim drapieżnym pisarzem, agresywnym i skupionym na sobie, których można często dziś spotkać. Wciąż czekamy na kogoś, kto będzie zarówno czuły dla świata, jak i obdarowany równie niepospolitym talentem.

Dodałbym, że czekamy również na kogoś, kto podobnie jak Białoszewski potrafi zachowywać dystans do różnych stron, takiego patrona polsko-polskiego pojednania.

Rozmawiamy w czasie Parady Równości[i], ale gdy pomyślę o autorze *Chamowa*, to z trudem jestem w stanie sobie wyobrazić go w podobnym miejscu. W ogóle raczej nie brałby udziału w żadnym marszu, niezależnie czy byłby to Marsz Niepodległości czy Parada Równości, jakkolwiek jest to tylko przypuszczenie. Czy byłby dobrym patronem „pojednania”? Trudno powiedzieć. To był człowiek lubiący innych ludzi, nie robił zamieszania wokół siebie i swojej sztuki, a co sprawia, że dziś byłoby mu raczej trudno się przebić. Może takiego patrona współczesna Polska potrzebuje, ale czy jest na niego gotowa?

Rozmawiał Michał Strachowski

[i] Rozmowa miała miejsce 25 czerwca 2022 r.